

Henryk Urbanek

ISKIERKI



Laureat „Konkursu na Dobrą Powieść”

Henryk Urbanek
ISKIERKI

Henryk Urbanek

ISKIERKI



Opracowanie całości: Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”

**Copyright© by „Drzewo Laurowe” & Henryk Urbanek,
Zielona Góra 2011**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabronione jest powielanie i rozpowszechnianie za pomocą dowolnych środków, w tym kopiowanie, reprodukcja czy odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki na wszelkich polach eksploatacji bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or part in any form.

e-Book Wydanie I
Zielona Góra 2011
ISBN: 978-83-62468-31-7

Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”
Zielona Góra
Księgarnia Internetowa „Skryby”
e-mail: redakcja@skryby.pl
www.skryby.pl

Laureat „Konkursu na Dobrą Powieść”
w kategorii *Pamiętnik – wspomnienie*

.

-

()

O...

P...

Piszę...

Pierwsze słowo...

Przepraszam...

Czy robię to wbrew sobie...? Co to znaczy, że piszę...? I czy to w ogóle coś znaczy...? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Przez całe życie unikałem pytań o pierwszeństwo kury przed jajkiem. Jestem inżynierem. Pragmatykiem. Lubię (a właściwie lubiłem) pracować, lubię słuchać muzyki, lubię dobre jedzenie i dobre piwo. Jestem hedonistą – jeśli używam właściwego słowa. O kobietach, w moim wieku wspominać raczej nie wypada. A szkoda. Mam 65 lat. Od kilku miesięcy jestem też „emerere”. Wyśłużony. Trochę mi przykro z tego powodu, bo chciałem jeszcze pracować. Ale dano mi całkiem niedelikatnie do zrozumienia, że mój czas się skończył. „Bezrobocie, kolego, rozumiecie!”. Dawniej mówiło się „towarzyszu”. Dostałem dyplom, nagrodę za 40 lat pracy i urlop, z którego się nie wraca. Przyznam, że zimny dreszcz masuje mój kręgosłup, gdy uświadamiam sobie co to znaczy. Niestety, nie wolność, o której marzyło się przez te wszystkie lata nienawidzenia budzika. Raczej straszliwą samotność i pustkę, od których można zwariować. Naprawdę. Dlatego kupiłem sobie gruby zeszyt, bardzo drogie pióro

i kilka paczek nabojów z zielonym atramentem. Zielonym, ponieważ takiego używał w swoim dzienniku Michał, mój syn. Przynajmniej w tym, który mam przed sobą, bo tylko ten się po nim ostał. Jeżeli były jakieś inne, to zabrała je synowa. I chyba zniszczyła, bo gdy ją o to zapytałem, z wściekłością powiedziała, że tak i że nie chce o tym więcej słyszeć. Domyślałam się dlaczego. Mogło w nich nie być o niej niczego dobrego. Tak jak w tym, który mam przed sobą. Czy zasłużyła na tak surową ocenę? Nie wiem. Czy ja zasłużyłam? Też nie wiem. Chyba dlatego kupiłem ten zeszyt. Bo może poprzez pisanie można się czegoś o sobie dowiedzieć. I żeby nie zwariować. Dzień jest piekielnie długi, gdy trzeba go zagospodarowywać samemu. Muszę przyznać, że nigdy tego nie czułem. Do niedawna wszystkie wydawały mi się za krótkie. Tylko że nie ja obracałem klepsydrę. Robił to nienasycony demon terażniejszości, któremu dziś nie złożył ofiary...

Mój syn...

Michał...

Nie żyje...

Popełnił samobójstwo...

Wyrwałem... Wydusiłem z siebie zdanie, które przez kilka lat nie przechodziło mi przez gardło. Nieznajomym mówiłem, że wyjechał do Ameryki i nie daje znaku życia. Ot, taka natura. Znajomi wiedzieli, że nie warto o tym przy mnie mówić. Dziś sam napisałem zdanie, którego tak bardzo nienawidzę... Aż brak mi tchu... Nie potrafię tego wyrazić... Ból miesza się z bezradnością, pustka z niewyrażoną nigdy miłością, wrzask z głuchym, bezwzględnym milczeniem. Swoim „czynem” mój rodzony syn zabił najlepszą część mego życiowego programu – nadzieję. I może o to mu chodziło,

jeśli dobrze odczytałem niektóre zdania z jego zeszytu. Niestety, często uciekał się do języka zacierającego komunikat. Jak gdyby się bał, że może kogoś urazić. Albo że to, co pisze, nie dość będzie odczytywane jako poezja. I nie jest. W mechanice zupełnie gdzie indziej znajdowaliśmy piękno. W prostocie i niezawodności konstruowanego urządzenia. Dlatego poplątane i zawile frazy Michała czasami budzą moją irytację:

„Było to w śniegu. Leżeliśmy, nie pamiętam czy nadzy, leżeliśmy tak blisko siebie, że nie mogło to mieć żadnego dla żywych znaczenia. Nie wirowaliśmy, nie spowijały nas kokony, nie stykaliśmy się udami, nie było policzków i dłoni, nikt nie doznał zawrotu głowy ni spazmu, mogliśmy w spokoju oddawać się śmierci. Nie zauważyliśmy, że oczy zamroziły nasze serca i nie mogła już płynąć Biblia”.

Albo to:

„Nigdy nie myliliśmy dnia z nocą. Jako dziecko uczyłem się prześladować śmierć zapomnieniem. Dostawałem za to dobre stopnie i drobne pieniążki. Czy teraz rozumiecie moją pogardę dla nauczycieli? I rodziców?”

O co tak naprawdę chodzi, jeżeli mam poważnie traktować to, co napisał...



Kim był mój syn? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie miałem ani czasu, ani potrzeby takiego pytania stawiać. Był po prostu moim synem. Cała reszta wynikała z tej prostej konstatacji. Przynajmniej do pewnego momentu. Jego rośnięciu było podporządkowane nasze życie. Robiliśmy z żoną wszystko, żeby miał szczęśliwe i dostatnie dzieciństwo, potem młodość. I chyba miał. Bo to, czy ma się dzieciństwo szczęśliwe czy nie, nie zależy od kraju ani ustroju, w jakim się żyje. Zresztą mówiliśmy mu prawdę.

Że kłamiemy. Co innego mówimy w domu, co innego poza nim. Że nie wydaje nam się to normalne, ale ponieważ jest powszechne, nabrało statusu normy. I nie ma co sobie łamać tym głowy. Tym bardziej przeciwko owej normie występować. Nie ukrywam, że chodziło głównie o zachowanie dość wysokiego standardu materialnego. Jako specjalista od tak zwanych „maszyn ciężkich”, zjeździłem służbowo prawie całą Europę i część Afryki. W czasach gomułkowsko-gierkowskich było to coś, co budziło szacunek. Zwłaszcza, że byłem Ślązakiem, który niemieckiego nauczył się jeszcze w szkole. Oczywiście niemieckiej, bo w czasie wojny innych nie było. Dlatego musiałem się zapisać do partii. Innej drogi awansu nie widziałem. Kilka tysięcy frazesów wygłoszonych publicznie w ciągu kilku pierwszych lat mej partyjności pozwoliło mi dostać mieszkanie. W czasach województwa stalinogrodzkiego był to wyczyn nie lada. Szczególnie dla początkującego, bardzo biednego inżyniera. Czy legitymizowałem w ten sposób wielką wówczas machinę terroru i zbrodni? Nie wiem. Ja na pewno nikomu nie zrobiłem krzywdy. A gdy jeszcze dziś porównuję to mieszkanie z gehenną mego brata, który przez ponad dwadzieścia lat tułał się z żoną i dziećmi po różnych norach, to rozgrzeszam się ze swej partyjności w sposób naturalny.



Widzę, że nie da się opowiadać o kimś bardzo bliskim, nie opowiadając o sobie. To smutne i śmieszne jednocześnie. Smutne, bo można odkryć przypadkowo, że człowiek nie jest tym, za kogo się uważa, śmieszne, bo nie ma nic weselszego nad fakt, że się stoi gołym przed samym sobą. Diabelstwo takiego ćwiczenia dopiero teraz dochodzi mej świadomości. Zazwyczaj w żart obracałem patetyczne i ostentacyjne mówienie Michała, że pisanie jest czyn-

nością niebezpieczną. Już wolałem, gdy pisałem w swoim pokoju, niż gdy po pijanemu wsiadałem do samochodu. Ale miałem dużo szczęścia i zawsze wracałem cało. Przepraszam, deklaracje, przysięgi, postanowienia – wszystko to brało w łeb, gdy tylko przekroczył pewien próg ilościowy alkoholu. Zawsze mnie dziwiły takie zmiany osobowości, chociaż nigdy nie kładłem ich na karb choroby. Wielokrotnie z żoną obiecywałem synowej, że w naszym domu nie napije się wódki. Niestety, zbyt często obietnicy nie potrafiłem dotrzymać. Alkohol to zresztą dla mnie problem zupełnie niezrozumiały. Nie wylewając za kołnierz, nigdy nie miałem z nim problemów. Do dziś zresztą lubię, gdy na najwyższej półce lodówki leży sobie spokojnie kilka butelek świeżego, mocnego piwa. Może dlatego apele synowej i jej ostrzeżenia o chorobie mały przynosiły skutek. A może przyczyna leży głębiej, niż mi się wydawało? W skłębionym zakłamaniu wszystkiego o wszystkim... Żyliśmy w tym stanie tak długo, że prawie zapomnieliśmy, iż słowo powiedziane do drugiego człowieka jednak coś znaczy. Zresztą, nie wiem. Z synową utrzymujemy bardzo chłodne i sporadyczne kontakty, a ponieważ nie mieliśmy dzieci, nic już nas ze sobą nie łączy. Właściwie to znalazła kogoś innego i nie chce nas więcej widzieć. Żona nie może jej tego wybaczyć, dla mnie to zwyczajna kolej rzeczy. Żałuję tylko, że nie chce rozmawiać o innych dziennikach Michała, nawet tych sprzed małżeństwa. Twierdzi, że nie miała czasu ani ochoty ich czytać i że spaliła wszystkie zaraz po jego śmierci. Z wściekłości i nienawiści. Obiecała, że sprawdzi, czy czegoś nie pominęła, ale już od miesiący się nie odzywa, więc chyba nie ma nadziei. Szkoda, bo w ten sposób mógłbym raz jeszcze spojrzeć na część swojego życia. Surowymi i nadwrażliwymi oczyma Michała...

